

Aleksander Radwański
Stowarzyszenie EBIB
aleksander.radwanski@ebib.pl

Kilka kamyków do normatywnego ogródka

Streszczenie: *W artykule dokonano próby odpowiedzi na pytanie–temat niniejszego „Biuletynu EBIB” – „Po co bibliotekom normalizacja?”. Rozważania skupiają się wokół takich zagadnień, jak: dokumentacja i statystyka biblioteczna, formaty bibliograficzne, budynki, koszty funkcjonowania bibliotek..., przy uwzględnieniu punktu widzenia bibliotekarza, użytkownika i organizatora bibliotek oraz możliwości/niemożności współpracy.*

Słowa kluczowe: *normalizacja, standaryzacja, biblioteki*

Po co bibliotekarzom normalizacja? – to jedno z tych pytań, które należy sobie zadawać, chociaż odpowiedź wydaje się oczywista. Działalność biblioteczna, uprawiana przez bardzo zróżnicowane placówki, w bardzo zróżnicowanych warunkach, aż krzyczy o normalizację. Czemu? Bo wchodząc do biblioteki, chcielibyśmy wiedzieć, jak się zachować i co nas czeka. Tymczasem jest tak, że będziemy potrafili znaleźć interesujący nas materiał lub nie, będziemy go mogli wypożyczyć lub nie, będziemy mogli skorzystać z ksero, skanera, wifi lub nie itd. itp.

Ograniczeni specyfiką

Ulubionym słowem bibliotekarzy jest „specyfika”. Nie ma biblioteki tak małej, by nie miała własnych, pieczołowicie kultywowanych tradycji, zaś stałym motywem w dyskusjach nad zmianami jest argument – „zawsze robiliśmy to w ten sposób i nowe narzędzia muszą się do tego dostosować”. Tak samo jak czytelnicy, którzy muszą znać osobliwości funkcjonowania każdej biblioteki, z której korzystają, nie mówiąc o regulaminach, gdzie „wszystko jest napisane”.

Specyfika ma swoje uzasadnienie – kształtuje ją doraźna pragmatyka, powstająca na styku konkretnych potrzeb środowiska użytkowników z potencjałem instytucji dążącej do ich zaspokojenia. Nakładają się na to również długofalowe strategie i cele, często definiowane w innej rzeczywistości, ale historycznie „uświęcone”. To wszystko powoduje, że każda biblioteka jest nieco inna niż pozostałe, co prócz lokalnego kolorytu pociąga za sobą wiele uciążliwości. Nie tylko dla czytelników, ale przede wszystkim dla bibliotekarzy

oraz instytucji organizujących i finansujących biblioteki. Specyfika uniemożliwia funkcjonowanie w szerszym kontekście czy choćby ścisłą współpracę pomiędzy wieloma placówkami. A otoczenie bibliotek się zmienia, zmieniają się oczekiwania – samo parzenie kawy, wstawienie miękkich mebli do polegiwania czy organizowanie kącików zabaw dla dzieci nie uczyni bibliotek atrakcyjniejszymi. IKEA zrobi to lepiej. Biblioteki muszą podnosić jakość usług, a do tego potrzebna jest m.in. standaryzacja. Zaś bez norm standaryzacja nie jest możliwa.

Miarą nonszalancji, jaką nasze środowisko zawodowe wykazuje względem norm, jest ich kondycja. Samo ustalenie, co to znaczy „opis bibliograficzny zgodny z polskimi normami” to temat na doktorat, a w przypadku większego zróżnicowania materiałów bibliotecznych – nawet na habilitację. Norm dotyczących dokumentacji bibliotecznej praktycznie nie ma. Każda biblioteka może stosować własne, jedyne w swoim rodzaju rozwiązania, mieszczące się w ramach obowiązujących rozporządzeń – zauważmy, że dość ogólnych. I robi to, uniemożliwiając jakąkolwiek wymianę informacji w tym względzie (każdy liczy trochę inaczej i trochę co innego – tylko GUS się łądzi, że zbierane dane są w jakimkolwiek sposób spójne), nie mówiąc o transferze doświadczeń. Bibliotekarz prowadzący inwentarz w bibliotece A, podejmując pracę w bibliotece B, będzie musiał się uczyć wszystkich osobliwości, zwyczajów i tradycji od nowa. A mówimy tu o dość trywialnym spisie majątkowym. A akcesja? A normy dotyczące powierzchni – ktoś jeszcze pamięta, że kiedyś były? Uzbrojenie w media, normy elektryczne i teleinformatyczne – ktoś je zna?

Bibliotekarze wciąż postrzegają swoje biblioteki jako niezależne jednostki, które mogą prawie dowolnie manipulować swoimi parametrami, by pogodzić ogrom zadań i ambicji z brutalnymi realiami finansowymi i organizacyjnymi. Normy pozwalają przyłożyć do tego jakąś miarę, ucywilizować warunki działania biblioteki i stworzyć możliwości do dalszego rozwoju. Ale stosowanie norm wiąże się również z rezygnacją z ukochanej specyfiki. Znormalizowana biblioteka nigdy nie będzie tak optymalna jak biblioteka specyficzna. Ale będzie zdolna do szerszej kooperacji, co stwarza wartość dodaną o większym ciężarze niż utracone dostosowania lokalne. To wymaga zmiany optyki. Gdyby informatycy trzymali się tak kurczowo specyfiki jak bibliotekarze, nie byłoby internetu. Bo były lepsze protokoły niż TCP/IP. Wydajniejsze i nowocześniejsze, ale specyficzne.

MARC21 i cała reszta

Dzięki możliwości wielokrotnego kopiowania raz wytworzonego opisu format MARC21 stał się bezspornym standardem w systemach bibliotecznych. Do ujednoczenia zasad opisu bardzo przyczyniła się działalność NUKAT, który wychował całe pokolenie współpracujących ze sobą bibliotekarzy. Ten sam format stosuje Biblioteka Narodowa, ale

tworzy opisy nieco odmienne. Dla laika opisy tych samych obiektów w NUKAT i BN praktycznie się nie różnią, ale różnice są wystarczające, by te dwa zbiory opisów były niespójne. Powstają w ten sposób dwa strumienie przepływu danych, które z rzadka i z wieloma komplikacjami będą się przecinać, uniemożliwiając automatyczną konsolidację informacji o zasobach wielu bibliotek. O różnicach wynikających ze stosowania odmiennych opisów rzeczowych litościwie nie wspomnę. Biblioteki wciąż zachowują się, jakby każda z nich była sama w kosmosie i lokalna wygoda przesądza o mniej lub bardziej rygorystycznym trzymaniu się normatywów. Tymczasem realizacja idei, że jednemu obiektowi fizycznemu odpowiada jeden opis formalny, który jest wszędzie taki sam, stanowi potężny instrument budowy systemów dużo inteligentniejszych niż najbardziej „fikuśny” katalog pojedynczej biblioteki.

Dalej jest już tylko gorzej. Przykład z ostatnich lat. Dwie biblioteki wdrażają nowy system w ramach jednego projektu. Natywnie wdrażany system nie ma modułu inwentarza więc zostaje on dorobiony. I uwaga – w każdej z bibliotek jest on odmienny! Kurtyna, oklaski... Co właściwie przemawia przeciwko idei, żeby w każdej bibliotece inwentarz wyglądał tak samo? Czemu ma służyć ta niekończąca się partyzantka rozwiązań „jedynych w swoim rodzaju”? Argumenty są głównie ekonomiczne. Nie stać nas na to lub na tamto. Jest to jednak „chora” ekonomia, licząca tylko jeden rodzaj kosztów. Bo zmarnowany czas, niemożność współpracy, transferu wiedzy i automatycznej wymiany informacji powodują koszty nieporównanie większe, ale oczywiście nie w skali jednej instytucji. „Reinventing the wheel” to coś więcej niż „wyważanie otwartych drzwi”. To niekończące się rozwiązywanie problemów, mających już dawno wystarczająco dobre rozwiązania. Jeśli nie są one normami – „przedstawienie” będzie trwać bez końca....

A bibliotekę damy.... o, tu

Nie ma tak marnego budynku, do którego nie dałoby się wcisnąć biblioteki. Jak się nie uda stworzyć galerii handlowej lub biurowca – budynek oddawany jest na cele biblioteczne. Plomba, przybudówka, adaptacja – wszystko jest dobre, by pomieścić bibliotekę. Wyremontowany zabytek, w którym nic sensownego urządzić się nie da – proszę bardzo! W rezultacie ciągle coś „nie styka”. Jeśli nawet policzono zwiększoną wytrzymałość stropów, to brakuje miejsca – a to na zaplecze techniczne (np. pracownię digitalizacji, komorę fumigacyjną lub serwerownię), a to na zaplecze socjalne (pokój śniadaniowy, kuchenka, sanitariaty), a to na czytelnię z prawdziwego zdarzenia lub swobodne przejścia na szlakach komunikacyjnych. Szwankuje zasilanie, uzbrojenie teleinformatyczne, wentylacja, ogrzewanie, oświetlenie... Regułą jest słabe zabezpieczenie przed klęskami (pożar, zalanie). A przecież wszystko to można objąć normami, które w dodatku już istnieją!

Standardem w działalności bibliotecznej powinien być projekt funkcjonalny, który po „przefiltrowaniu” przez normy jednoznacznie wykaże, czy budynek na działalność biblioteczną w ogóle się nadaje, czy powinien powstać nowy. Rozpowszechniona praktyka przyjmowania „ochłapów”, których nie da się wynająć zagranicznym firmom, handlowcom lub restauratorom, prowadzi do mnożenia placówek dysfunkcyjnych, nierealizujących swoich zadań i walczących o „żebaczy” budżet, a wszystko w atmosferze górnolotnych deklaracji bibliotekarzy o misji i potrzebie oraz milczącego lekceważenia decydentów, którzy dają coś na odczepnego, bo nie widzą celu ani efektów. Tymczasem kolejność powinna zostać odwrócona – to organy założycielskie powinny artykułować potrzeby w zakresie działalności bibliotecznej, zaś bibliotekarze powinni być „uzbrojeni” w normatywy, według których można te potrzeby zaspokoić. Tak jak elektryk nie będzie dziś łatał instalacji z przypadkowych drutów bez odpowiednich zabezpieczeń lub hydraulik nie zaproponuje instalacji opartej na rurkach z odzysku – tak samo bibliotekarz musi mieć gotowe rozwiązania, gwarantujące uzyskanie odpowiedniej jakości, efektywności i funkcjonalności. W innych branżach nazywa się je po prostu normami.

Ile to kosztuje i czemu tak drogo?

Normy powinny również ułatwić wycenę wszystkich elementów składających się na bibliotekę. Projekty o niedoszacowanym budżecie nie powinny być realizowane, zaś istniejące już biblioteki powinny walczyć o normalny budżet wynikający z postawionych zadań. Jeśli budżet wynikający z wyceny nie jest możliwy, zadania powinny zostać ograniczone. Już słyszę głosy, że to będzie prowadzić do zaniku bibliotek. Czy przestrzeganie norm elektrycznych zlikwidowało elektryków? Albo czy normy budowlane zlikwidowały firmy budowlane? Tak, te złe i nieprofesjonalne, zatrudniające nie- wykwalifikowanych pracowników i nieudolny nadzór. Bibliotekarze słusznie obawiają się, że zanim zanik działalności bibliotecznej wzbudzi czyjś niepokój, biblioteki już nie będzie. Nie ma jednak innej drogi poprawy sytuacji niż gotowość na czasowe nieistnienie. Może się zdarzyć, że ta czasowość stanie się permanentna, ale na to też musimy być gotowi. Jeśli dana społeczność nie odczuwa potrzeby korzystania z biblioteki, to prędzej czy później i tak zostanie ona zlikwidowana, poprzez stopniowe ograniczanie budżetu i powolną degradację. Bibliotekarze akceptują to frustrujące umieranie swojej placówki, kiedy alternatywą jest bezrobocie. Zamykają sobie jednak w ten sposób drogę do jakiegokolwiek poprawy sytuacji. Nie jest też wykluczone, że niektórzy obawiają się, że nie sprostałoby przyjętym dla działalności bibliotecznej normom. Niskie zarobki i niewielki budżet to wygodne wytłumaczenie braku organizacji i ogólnego zniechęcenia.

Działalność biblioteczna, jak każda inna, wymaga określonych środków. Ich niedoszacowanie ma zwykle u źródła brak wyraźnie określonych norm i w rezultacie niemożliwość egzekwowania wysokości nakładów. O ile koszty dostosowania budynku do działalności bibliotecznej są dość dobrze policzalne, to już na tym etapie nie doszacowuje się zwykle kosztów wszystkich instalacji (w tym klimatyzacji). Następne niedoszacowania wiążą się z nakładami na zakup specjalistycznego wyposażenia, zakup zbiorów oraz na wynagrodzenia dla wysoko wykwalifikowanej kadry. Bo nie ma norm, które można by tu przywołać, a standardy ustalane na podstawie doświadczeń innych branż nie są respektowane.

Perswazja kontra urząd

Nie wierzę w perswazję i powszechne zrozumienie, że przestrzeganie norm przynosi korzyść nam wszystkim. Tępe nożyce budżetowe tną w poprzek interesu publicznego i nikogo nie obchodzą nieodwracalne straty, jakie powoduje krótkowzroczna i merkantylna polityka organów założycielskich. Dopóki nieprzestrzeganie norm w zakresie organizowania działalności bibliotecznej nie zostanie obłożone karami administracyjnymi, nikt się poważnie tymi normami przejmować nie będzie. Dopiero kalkulacja – lepiej zainwestować w porządną bibliotekę niż płacić kary za bylejakość – skłaniać będzie decydentów do dokonywania właściwego wyboru.

Kto jednak miałby te normy ustanowić i walczyć o ich przestrzeganie? Ministerstwa w zasadzie wypisały się z polityki bibliotecznej, poprzestając na wspieraniu bliżej niekreślonego czytelnictwa. Instytut Książki? Krajowa Rada Biblioteczna? Biblioteka Narodowa? SBP? Ośrodki akademickie nie czują się do tego powołane, bo jako problem badawczy temat nie istnieje. Nie liczyłbym też na Unię Europejską. W krajach „starej unii” funkcjonowanie bibliotek jest oczywiste – dyskusja dotyczy kierunków zmian i nikt nie rozumie, że jest taki kraj w Europie, w którym problemem jest ustalenie, ile kosztuje sprawnie działająca biblioteka i co właściwie robi.